

JOE ALEX

GDZIE PRZYKAZAŃ
BRAK DZIESIĘCIU



BUKOWY LAS

*Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg,
Birmańska siedzi dziewczyna i wiem, że wspomina mnie;
Bo świątynny dzwon przyzywa, gdy wiatr w palm korony dmie:
„Wróć tu, wróć, żołnierzu z Anglii, wróć tu, wróć do Mandalay!”*

*Wróć tu, wróć do Mandalay,
Gdzie flotylli dawnej cień:
Czy nie słyszysz szmeru wiosel od Rangoon po Mandalay?
Na szlaku do Mandalay
Latająca ryba mknie,
A świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!*

*Jej spódnica była żółta i zielony czepek jej,
Imię miała Supi-jo-lat jak królowa Tihabei.
Pierwszy raz ją zobaczyłem, gdy kurzyła faję białą,
Chrześcijańskie pocałunki marnując na bożką ciało:*

*Plugawe, gliniane cudo,
Zwane wielkim bogiem Buddą.
Dużo dbała o te bogi, gdy całowałem jej nogi!
Na szlaku do Mandalay...*

*Gdy mgła wstała z pól ryżowych, a słońce schodziło wolno,
Wymowiała swoje banjo i śpiewała „Kulla-lo-lo!”
Z policzkiem na mym policzku i ręką na mym ramieniu,
Spoglądała na parowce i hathis z pniami w strumieniu.*

*Słońce ciągną pnie na złoże
W śliskim, szlamistym bajorze,
Gdzie cisza wisi tak ciężko, że człowiek mówić nie może.
Na szlaku do Mandalay...*

*Ale to już odpłynęło, dawno minął już ten dzień;
Nie kursują autobusy z banku aż do Mandalay.
Tu w Londynie wiem, co znaczy tam przesłużyć dziesięć lat:
„Kiedy raz cię Wschód zawoła, na nic później cały świat”.*

*Na nic później cały świat:
Czosnek pachnie tam jak kwiat,
Jest słońce, palmy, a w górze głos świątynnych dzwonów gra
Na szlaku do Mandalay...*

*Chory jestem od zdzierania zelówek o twarde bruk,
A przekłęta stota Anglii budzi febrę, zwala z nóg.
Choć od Chelsea aż do Strandu kucht tuziny za mną gnają
I gadają o miłości, ale o czym to gadają?*

*Sine, krowie pyski mają.
Boże, o czym to gadają?
Mam smuklejszą, słodsza pannę w piękniejszym, zieleniejszym
kraju:
Na szlaku do Mandalay...*

*Płynąć chcę na wschód, za Suez, gdzie jest dobrem każde złoto,
Gdzie przykazań brak dziesięciu i pić można, aż po dno.
Bo świątynny dzwon przyzywa i tam tylko być już chcę –
Przed pagodą starą w Moulmein, tam gdzie morza senny brzeg.*

*Na szlak do Mandalay,
Gdzie flotylli dawnej cień;
Nasi chorzy tam leżeli, gdyśmy szli na Mandalay!
Na szlak do Mandalay
Latająca ryba mknie,
A świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!*

RUDYARD KIPLING

(Wiersz, którego Joe Alex nauczył się na pamięć, będąc bardzo młodym człowiekiem. Po wielu latach usłyszał go ponownie z ust emerytowanego generała majora Johna Somerville'a, komandora Orderu Łaźni i komandora Orderu Cesarstwa Indii. Nie wiedział jeszcze wówczas, że niewiele godzin minie, a będzie powtarzał ten utwór do znużenia, strofa po strofie, przeczuwając, że stąd właśnie może wytrysnąć ów promyk światła, który rozjaśni krętą i najeżoną zasadzkami ścieżkę prowadzącą do zdemaskowania jednego z najprzebieglejszych morderców w dziejach Wielkiej Brytanii).

ROZDZIAŁ 1

Biada tym, którzy piszą księgę...

Joe Alex siedział przy stole i zmęczonymi, zrozpaczonymi oczyma wpatrywał się w kartkę nawiniętą na wałek małej, płaskiej maszyny Olivetti, która służyła mu wiernie od tylu już lat. Przeciągnął powoli palcem po napisie LETTERA 22 pośrodku jej grzbietu. Ani pyłku. Higgins zadbał nawet o to. Poczciwy, szczęśliwy Higgins znał swoje obowiązki i przywileje, poruszał się równomiernie w ściśle uregulowanym świecie swej pracy i wypoczynku, mógł każdego wieczora powiedzieć sobie, usypiając: „Oto minął jeszcze jeden doskonale przepracowany dzień mojego życia!”.

Alex westchnął, wstał, wykręcił kartkę z maszyny i przyjrzał się jej, marszcząc brwi z tak skupioną uwagą, jak gdyby poza cyferką „2” stojącą pośrodku u góry znajdowały się na niej słowa, do których przykładał ogromne znaczenie.

Ale na kartce nie było ani jednego słowa. Wkręcił ją na powrót i usiadł. To musiało przecież minąć. Spojrzał

na zegarek. Dziesiąta. Wstał dziś o piątej rano. O pół do szóstej usiadł do maszyny. Cztery i pół godziny...

Zerknął na leżącą obok maszyny kartkę oznaczoną cyfrą „1”. I ona była niemal pusta. U góry – pośrodku – znajdowały się dwa napisane rozstrzelonym drukiem wyrazy:

Joe Alex

Nieco niżej cztery następne, ujęte w cudzysłów:

„GDZIE PRZYKAZAŃ BRAK DZIESIĘCIU”

Tytuł książki nie był zły. Pochodził z jakiegoś wiersza. Z jakiego wiersza? Joe potrząsnął głową. Był przekonany, że zna ten wiersz, ale wszystko dzisiaj zawodziło: łatwość pisania, kompozycja, nawet pamięć. Pozostał tylko ten fragment. „Gdzie przykazań brak dziesięciu...”

– A może, po prostu, nie chce mi się pisać? – powiedział półgłosem. – Może za wiele napisałem już książek, w których wyławiam moich jakże zdolnych morderców z łatwością, z jaką moi rozsądni znajomi łowią pstrągi w Szkocji o tej porze roku? Może to już koniec? Jeżeli ten przeklęty talencik porzucił mnie nagle, będę musiał zająć się czymś prawdziwym. Ale czym? Nic innego nie potrafię. Kiedyś umiałem przeprowadzać bombowce przez ogień artylerii przeciwlotniczej. Ale to było bardzo dawno, tak dawno, że sam już w to przestałem wierzyć. Mógłbym ewentualnie wstąpić do Scotland Yardu. Przyjęliby mnie przecież. Zostałbym policjantem. Jestem już przecież kimś w rodzaju

detektywa *honoris causa*. Byłbym podkomendnym Bena Parkera i przychodziłbym punktualnie o ósmej do pracy. Nie, nie mógłbym przychodzić punktualnie do pracy. Nie umiem budzić się na żądanie. Wszystko, tylko nie to.

Umilkł. Przymknął oczy i przeciągnął się. Nie napisał dziś nic, a był tak zmęczony, jak po dwudziestoczworgodzinnym pisaniu non stop. A przecież jeszcze wczoraj wszystko miał doskonale ułożone w głowie. Pomysł tej powieści przyszedł nagle i skryształizował się w ciągu pół godziny. Joe był pewny, że będzie to jedna z jego najlepszych książek. Chociaż czytelnik otrzyma od autora wszystkie fakty nieosłonięte i wyraźne, nie odgadnie. Nie odgadnie, póki Joe Alex, twórca i bohater własnych powieści, nie powie mu, kto zabił.

Później nagle wszystko się zamazało, zbladło, zniknęło. Pozostał tylko nagi, banalny szkielek konstrukcji, który nie dawał się oblec w słowa. Nie mógł wykrzesać z siebie nawet pierwszego zdania.

Mimowolnie zerknął w stronę aparatu telefonicznego. Gdyby Ben zadzwonił. Boże, jak by to było dobrze, gdyby nagle Ben zadzwonił. „Czy to ty, Joe? Słuchaj, nie chciałbym ci przerywać pracy, ale jestem w tej chwili w Carltonie. Zabito maharadżę Aszampur! Pokój zamknięty od wewnątrz, okna też, straż przyboczna stała całą noc przed drzwiami apartamentu... a jednak został zabity! Czy mógłbyś zajrzeć tu na chwilę?”

Czy mógłby? Zerwałby się z krzesła i zjechał po poręczy w dół, a potem pognałby samochodem przez zatłoczone, poranne ulice Londynu i zahamowałby gwałtownie przed wspaniałym wejściem do hotelu. Agenci

w cywilu rozpoznaliby go od razu. „Tak, proszę pana. Pan Parker oczekuje pana. Jest na miejscu wypadku. Apartamenty drugiego piętra”.

Niestety, telefon milczał i nie było najmniejszej szansy, że zadzwoni właśnie w tej chwili. Nikt nie zabijał maharadżów na zamówienie. Choć Joe wierzył w nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, nie wierzył w cuda.

Powoli zwrócił oczy ku maszynie. Położył palce na klawiaturze. Muszę spróbować – pomyślał. – Jedno, dwa, trzy zdania i wszystko popłynie jak zwykle. Wiem przecież, co chcę napisać. Czy tak łatwa rzecz była kiedyś tak trudna dla kogokolwiek?

Uderzył palcem w literę „J”. Potem „o”, później „e”.
„Joe... Alex...”

Był przesądny i zawsze umieszczał w pierwszym zdaniu każdej ze swych książek swoje nazwisko...

Ale tym razem nie napisał ani jednego słowa więcej i choć nie wiedział o tym jeszcze w tej chwili, wiele czasu miało upłynąć przed napisaniem następnego. Zawahał się.

– Lecz oto wchodzi kobieta i na jej widok usycha delikatny krzew boskiego natchnienia... – powiedział świeży, dziewczęcy głos w progu. – Zdaje się, że bardzo przeszkadzam, prawda?

Nie odwracając się od stołu, aby nie dostrzegła jego radosnego uśmiechu, Joe odparł ponuro:

– „Biada tym, którzy piszą księgę dłońmi swymi, a później powiadają: rzecz tę zesłał Allah! – aby mogli uzyskać za nią zapłatę niewielką. Biada im za to, co dłonie ich wypisały, i biada ich zapłacie”.

– Co to takiego?

– Koran, moja najlepsza Karolino. Sura pierwsza, czyli Krowa, werset ósmy: „Rosną w zatwardziałości serca swego”.

Odwrócił się nagle wraz z krzesłem, wstał i przytulił ją do siebie.

– Przestań, na miłość boską! – powiedziała półgłosem. – Cesałam się przez pół godziny, a za sekundę będę rozczochrana tak, że nawet twój dyskretny Higgins zacznie znacząco spoglądać w kąt pokoju i chrząkać, kiedy wejdzie. A mam przecucie, że wejdzie za chwilę, żeby mi zaproponować filiżankę herbaty.

Wyswobodziła się łagodnie i położyła rękawiczki na stole, ale natychmiast uniosła je i pochyliła się nad kartką oznaczoną cyfrą „1”.

– Gdzie przykazań brak dziesięciu! Zaczynasz nową powieść?

– Jak widzisz, moja kochana... – Joe westchnął. – Ale błagam cię, nie mówmy o tym. Mówmy o tym, co cię tu sprowadziło. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek przestąpiła próg tego mieszkania o dziesiątej rano.

– Ponieważ o dziesiątej rano wszyscy albo prawie wszyscy dorośli ludzie w Londynie pracują. Jeżeli nie ma mnie o tej porze w Instytucie, pracuję w domu. Zresztą, czy słyszałeś kiedyś, żeby młode damy składały wizyty samotnym mężczyznom przed południem?

– Subtelności chronologiczne nie są moją najsilniejszą stroną – powiedział Joe rozkładając bezradnie ręce. – Szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dla którego popołudnie albo wieczór miałyby...

Nie dokończył. Na progu rozległo się ciche chrząknięcie.

– Czy podać filiżankę herbaty, panno Beacon? – odezwał się Higgins i zwrócił pytające spojrzenie nie ku niej, lecz ku Alexowi.

– Tak! – odpowiedział Joe niemal z entuzjazmem. – Panna Beacon wypije herbatę razem ze mną. Czy zjesz coś? – zwrócił się do Karoliny.

– Jestem po śniadaniu. Tylko herbatę, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

– Tak jest, proszę panienki.

Drzwi zamknęły się cicho.

– Czy nie poprosisz mnie, żebym usiadła? – Karolina rozejrzała się. Oczy jej przesunęły się po obu wspaniałych fotelach, które Robert Adam zaprojektował ongi dla skromnego, choć nieśmiertelnego stolarza Thomasa Chippendale’a. – To świętokradztwo siadać na tym – powiedziała, potrząsając jasną główką. – Przecież one ciągle jeszcze mają oryginalne obicia! Powinny być w muzeum.

– Hm... – Joe posadził ją w jednym z foteli i usiadł naprzeciw, przysunawszy bliżej stolik intarsjowany małymi postaciami skrzydlatych sfinksów. – Zawsze wydaje mi się, że meble w muzeum są smutne. Te cudowne gabineczki o legionach szufladek, w których nikt już nigdy niczego nie ukryje, te puste gotyckie skrzynie posagowe, pozbawione posagu i macierzanki, te stoły dębowe, na które żaden pijany szlachcic nie rozleje już wina, stojące za przegrodą z pluszowych sznurków, są prawie tak rozpaczliwe jak monety wystawiane na widok publiczny w szklanych, wybitych pluszem gablotkach. Moneta nie

powinna być nieruchoma! Powinna dzwonić w sakiewce, padać na ladę, przechodzić z rąk do rąk, ewentualnie lądować wraz z innymi monetami na dnie skrzyni jakiegoś staruszka, aby po jego śmierci spadkobierca mógł przewrócić ów kufer i zachłysnąć się widokiem migotliwego, rozbiegającego się po podłodze skarbu. Ale ta mumifikacja przedmiotów, które były w ciągłym użytku, i przeniesienie ich do ponurych sal pod straż ponurych woźnych, którzy sami ich nie tkną i innym na to nie pozwolą, jest paskudztwem. Powiadam ci szczerze, ile razy jestem w jakimkolwiek muzeum, gdzie abstrakcyjna istota, zwana społeczeństwem, nagromadziła to, co należało do poszczególnych ludzi, odczuwam niemal konieczność przesunięcia czegoś albo po prostu wsunięcia któregoś z drobniejszych eksponatów do kieszeni!

– Prześliczne poranne rozmyślania wroga przestępców numer jeden! – stwierdziła Karolina poważnie. – Mogłabym zarobić co najmniej sto funtów, gdybym sprzedała ten twój monolog któremuś z nieocenionych reporterów naszych pism codziennych: JOE ALEX MÓWI: „SAM MAM OCHOTĘ KRAŚĆ!” – na pierwszej stronie, oczywiście. Ale mam nadzieję, że nie robisz tego?

– Niestety! – Joe znowu rozłożył ręce. – Społeczeństwo złamało mi kręgosłup, kiedy byłem jeszcze niemowlęciem. Jestem istotą bardzo odległą usposobieniem od naszych renesansowych przodków. Powściągam z łatwością każde pragnienie. Zauważyłaś przecież, że nie pocałowałem cię dzisiaj ani razu!

– Na miłość boską... – Karolina zerknęła na drzwi. – On zaraz wejdzie!

– Wiem. I to właśnie różni mnie od naszych praojców, którzy nie krępując się obecnością paziów, giermków, adiutantów, spowiedników, pacholków i dziewczek służebnych, brali ukochane kobiety w ramiona i...

– Słuchaj – przerwała Karolina pospiesznie, nie odrywając oczu od drzwi. – Zanim przystąpisz do kompromitowania mnie w oczach służby, może będziesz na tyle uprzejmy, że zechcesz zapytać o powód mojej wizyty tutaj.

– Nie muszę... – Joe uśmiechnął się pogodnie. – Najbardziej zdyscyplinowana inteligencja epoki nie musi nikogo o nic pytać. Czy chcesz, żebym ci powiedział, co cię sprowadza? Dziś rano otrzymałaś pierwszą pocztą list ekspres, w którym nadawca prosił cię o natychmiastowe skomunikowanie się ze mną w bardzo ważnej dla niego sprawie. Dlatego nie poszłaś do Instytutu i przyjechałaś tutaj. W liście nadawca nie doniósł ci o żadnym straszhwym wydarzeniu, nic się nie stało, ale osoba nadawcy wzbudza twoje zaufanie albo szacunek i dlatego postanowiłaś od razu wypełnić jej życzenie.

Karolina spojrzała na niego niemal z przerażeniem.

– Joe, jak to?... Jak mogłeś wiedzieć?... Przecież...

– Mógłbym otoczyć się gęstym mrokiem tajemnicy i zachować twój jakże stosowny podziw jeszcze przez kilka minut, ale sprawa jest zbyt prosta dzięki prześlicznemu kostiumowi, który włożyłaś na tę okazję. Jest on wykonany z cieniutkiej wełny i żakiet jego ma dwie kieszonki. W jednej znajduje się list. Ale kieszeń jest płytka i list wystaje nieco. Nawet z tej odległości widzę słowo: „Express”, podkreślone dwa razy czerwonym ołówkiem. Ponieważ masz na kolanach torebkę, więc wydawałoby

się, że list powinien znajdować się w torebce. Ale przecież jesteś tylko kobietą i jadąc tutaj, chciałaś go jeszcze raz przeczytać, żeby przygotować się do rozmowy ze mną. Czytałaś w taksówce i wsunęłaś list do kieszeni, wysiadając z auta. Jeżeli chodzi o pozostałe moje uwagi, to wiem, że nic złego nikomu się jeszcze nie stało, bo jesteś w doskonałym humorze. Gdybyś otrzymała list z tragiczną wiadomością, weszłabyś tu z dyskretnym dostojeństwem i mówiłabyś poważnie i lekko przyciszonym głosem już od progu. Znam cię przecież, moja panienczko. Wbrew pozorom jesteś osobą poważną. Nadawca tego listu jest kimś szanownym i wzbudzającym twój szacunek, bo przyjechałaś od razu. Gdyby to była jakaś dawna znajoma, powiedzmy, koleżanka szkolna, która wie, że... no, że łączy cię przyjaźń z Joe Alexem, zaczęłaśbyś do godziny trzeciej po południu, to jest do chwili, kiedy mieliśmy się spotkać w Carltonie. To wszystko.

– Rzeczywiście wygląda to bardzo prosto, chociaż jeden szczegół jest niezwykle dokładny – powiedziała Karolina nieco zawiedzionym głosem. – Okazuje się, że nie jesteś jasnowidzem.

– Ależ jestem! Na tym właśnie polega moja przewaga nad ludźmi, którzy nie biorą pod uwagę wszystkiego... – Joe wypiął pierś i uderzył palcem w miejsce, gdzie powinno było znajdować się serce. – Co prawda, naród mój, który wieszał girlandy orderów na Beatlesach, nie zaszczylił mnie po wojnie żadnym odznaczeniem, ale jeśli Jej Królewska Mość zechce ustanowić kiedyś medal za spostrzegawczość, mogę ci powiedzieć w sekrecie, że wiem, na czyjej piersi zawiśnie.

– Jesteś urzekająco skromny.

– Oczywiście, że jestem. Czy spotkałaś kiedykolwiek człowieka, który nie popełnił ani jednej omyłki podczas całej swojej kariery?

– Nie... – Karolina potrząsnęła głową, śmiejąc się. – Nie spotkałam i nie sędzę, żebym go kiedykolwiek...

– Mylisz się! – przerwał jej. Wstał. – Masz go przed sobą! Niestety, osoby będące obiektami moich jakże precyzyjnych wniosków przeważnie nie żyją albo odsiadują kary więzienia tak gigantyczne, że trudno przypuszczać, abyśmy mogli się z nimi porozumieć przed upływem dwudziestego wieku. Dlatego, z braku świadków, musisz mi wierzyć na słowo. A jeśli nie wierzysz, zapytaj Bena. Bardzo niechętnie, z dużym wahaniem, ale powie ci on dokładnie to samo co ja: nie było do tej pory ani jednej zagadki, której nie rozwiązałbym do końca. Ani jednej, Karolino!

Zakręcił się na pięcie i usiadł.

– Czy wiesz, dlaczego wygłosiłem ten mały panegiryk na własną cześć?

– Prawdopodobnie sprawia ci to po prostu przyjemność – powiedziała z niewinnym wyrazem twarzy. – Istnieją ludzie, którzy nade wszystko lubią wychwalać siebie i swoje zalety. Oczywiście nie wspominają przy tym nigdy o wadach. To mogłoby im trochę popsuć tę niewinną przyjemność.

– Właśnie! – Joe wskazał dłonią stół. – Czy wiesz, że wstałem dzisiaj niemal przed świtem i nie napisałem dotąd ani jednego słowa? Nie, przepraszam, napisałem, zdaje się, dwa słowa.

– Widocznie dobry Bóg zadbał o to, żebyś nie był wszechstronnie bezbłędny. Nie przejmuj się, Joe. Ja, na przykład, nie umiem gotować. Ile razy próbowałam sobie coś ugotować, zawsze okazywało się, że ktoś musi zrobić to po raz drugi, bo rzecz nie nadaje się do jedzenia. Widocznie u ciebie tak jest z pisaniami – dodała pogodnie. – Ale może pozwolisz mi powiedzieć, dlaczego przeszkodziłam ci teraz w tym najmielszym z zajęć.

– Przepraszam, zupełnie zapomniałem, że może cię w życiu interesować coś prócz mnie.

Wszedł Higgins, niosąc herbatę. Kiedy zniknął, Karolina ostrożnie pogłaskała dzbanuszek, nad którym unosił się maleńki obłoczek parującego mleka.

– Niestety, jestem ofiarą mojego zawodu. Czy Higgins nigdy nie stłukł żadnego z tych cudów? Przecież to Sèvres, jeden z najwcześniejszych, jeżeli znam się na tym chociaż trochę.

– O ile wiem, Higgins nie tłucze porcelany. Dlaczego miałby ją tłuc?

– Och, po prostu dlatego, że jest bezcenna. Mnie drżałyby palce przy myciu tego. Na świecie istnieje jeszcze w tej chwili pięć albo sześć podobnych dzbanuszków tej klasy z tego okresu. On naprawdę powinien być w muzeum, a przynajmniej nie powinien używać go na co dzień. Spójrz na te ptaki! To chyba najdelikatniejszy wzór, jaki widziałam.

– Jesteś odrobinę egzaltowana i chociaż wszystko we mnie cofa się przed tą myślą, to jednak uczciwość każe przyznać, że jest w tobie coś ze starej panny! – Joe uniósł dzbanuszek. – Ile mleka?

– Troszeczkę. O, tyle. Stare panny też muszą dbać o linię. Dziękuję.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niej list i bez słowa podała mu nad stolikiem. Później wyspała cukier do filiżanki i zaczęła mieszać powoli, w milczeniu, przyglądając się spod długich rzęs mężczyźnie.

Droga Karolino – zaczął czytać Joe półgłosem – chociaż wiem, że listy pochodzące od ludzi tak starych jak ja mogą się wydawać nużące osobom tak młodym i pełnym życia jak Ty, pozwalam sobie jednak skorzystać z tego, że jestem bratem Twojego zmarłego dziadka, i chcę poprosić Cię o pewną przysługę. Choć od kilku już lat nie opuszczam mojej samotni, odwiedza mnie jednak wiele ludzi... (przy okazji pragnę raz jeszcze podziękować Ci za Twoje ostatnie odwiedziny, które wniosły powiew młodości do mojego domu, pleśniejącego już powoli równocześnie ze swym właścicielem) i niektórzy z nich powtarzają mi londyńskie plotki. Kilkakrotnie obito mi się o uszy nazwisko Joe Alex, które bywa łączone z Twoim, choć w sposób jak najbardziej dyskretny. Nie myśl, że list ten ma na celu zwrócenie Ci uwagi na te plotki. Od dni mojej młodości wiele się zmieniło na świecie i nie chciałbym zabierać głosu w sprawach, których już najprawdopodobniej nie rozumiem. Zresztą, jestem nie tylko emerytowanym generałem, ale i emerytowanym liberałem i wydaje mi się, że kobiety współczesne są szczęśliwsze niż ich babki. Wywalczyłyście sobie wolność, a stary,

odchodzący od życia człowiek nie powinien zabierać głosu w tych sprawach...

– Bardzo rozsądne... – mruknął Joe – chociaż miałem cichą nadzieję, że twój dziadek będzie cię nakłaniał do małżeństwa. Ostatnio wiele myślałem o tym i muszę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że...

– Czytaj dalej! – powiedziała Karolina pospiesznie.

Alex niechętnie przeniósł wzrok na papier zapisany drobnym, wyraźnym, nieco drżącym charakterem pisma.

Jeśli wspomniałem Pana Alexa już na początku tego listu i jeśli pozwoliłem sobie ujawnić, że wiem o łączącej Was przyjaźni, to uczyniłem tak tylko dlatego, że doszedłem do wniosku, iż jest to człowiek, z którym chciałbym się spotkać w najbliższym czasie. Niestety, ani wiek, ani stan zdrowia nie pozwalają mi na podróż do Londynu. Dlatego proszę Cię, Karolino, abyś, o ile to możliwe, nakłoniła Pana Alexa do odwiedzenia mnie. Oczywiście, nie muszę chyba dodawać, że także Twoja obecność będzie dla mnie jak zawsze prawdziwą radością. Gdybyś zdecydowała się pomówić z Panem Alexem o moim zaproszeniu, bądź tak dobra i powiedz mu, że jestem gorącym wielbicielem jego książek i mam je wszystkie u siebie na podręcznej półeczce w sypialni, dalej także, że znam z gazet historię jego niezwykłych sukcesów na polu kryminologii...

– Czy mam powtórzyć powoli i dobitnie to ostatnie zdanie? – zapytał Joe, spuszczaając skromnie oczy.

– Nie trzeba. Dziadek John jest, jak już wiesz z tego listu, emerytowanym generałem. Wiemy przecież, co czytają najchętniej zawodowi wojskowi wszystkich krajów. Ale czytaj dalej.

Sprawa, którą chciałbym poruszyć w rozmowie z Panem Alexem, jest natury ściśle poufnej i nie nadaje się do powierzenia korespondencji. Zresztą przekonany jestem, że dla wyjaśnienia jej konieczny byłby przyjazd Pana Alexa do Mandalay House. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że Twój znajomy jest zapewne bardzo zajęтым człowiekiem, a jeśli nie interesuje go rzeźba indyjska, nie znajdzie tu zbyt wielu atrakcji prócz pływania w zatoce i łowienia ryb z pokładu mojej motorówki, co także może wydać mu się niezbyt ciekawe, jeśli nie jest rybakiem. Ale wierz mi, moja mała Karolino, że bardzo mi zależy na jego przyjeździe tutaj i dlatego właśnie zwracam się do Ciebie, a nie do Pana Alexa bezpośrednio. Nazwisko moje zapewne nic by mu nie powiedziało. Natomiast, znając Ciebie od czasów, gdy nosiłem Cię na plecach na brzeg morza (czy pamiętasz te różowe muszelki i naszyjnik, który Ci zrobił z nich Chanda?), wiem, że będę mógł polegać na Twoim takcie i uporze...

– Pan generał ma słuszność... – mruknął Alex – przynajmniej, jeśli chodzi o to drugie.

– Dokończ, błagam! – Karolina wstała i obeszła stół. – Później porozmawiamy. Mam zamiar wykazać tu

jak najwięcej taktu, a jak najmniej uporu. Kiedy skończysz, powiem ci, co myśle o tym liście i jego nadawcy.

– Zgoda. Zaraz będzie koniec. Gdzie to ja przerwałem? Tutaj.

...na Twoim takcie i uporze. Jakakolwiek byłaby decyzja Pana Alexa, proszę Cię bardzo o jak najszybszą odpowiedź. Może dodaj tylko, że problem, który miałby tu do rozstrzygnięcia, mógłby go zainteresować. Mnie interesuje on tak bardzo, że pozwoliłem sobie zanudzić Cię tym przydługim listem. Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i proszę o przekazanie moich pozdrowień Twojej drogiej Matce.

*Kochający Cię zawsze tak samo, Twój dziadek
John Somerville*

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

JOE ALEX

TAJEMNICE GENERAŁA I JEGO GOŚCI

Joe Alex przybywa z Karoliną Beacon do posiadłości jej krewnego, emerytowanego generała. Były wojskowy ma nadzieję, że Alex doradzi mu w pewnej kryminalnej sprawie. Nim jednak dochodzi między nimi do rozmowy, generał zostaje znaleziony martwy. Co więcej, okazuje się, że jego śmierć była zapowiedziana w anonimowych listach, które docierały do Scotland Yardu. Podejrzani są wszyscy goście obecni w rezydencji. Czy Joe Alex odnajdzie wśród nich winnego?

JOE ALEX. Pod tym pseudonimem tworzył Maciej Słomczyński, który przetłumaczył wszystkie dzieła Williama Shakespeare'a. Autor przekładów literatury światowej, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych.



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł